

# Ruch łapą

Wyznania szczerego  
entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

**Po**kwadransie zaniepokoiła mnie troska moja o żółwia. Studenci aktorstwa grali dyplomowe przedstawienie, przez Krzysztofa Babickiego wyreżyserowaną „Arkadię” Toma Stopparda – a ja co? Kontempluję gada w akwarium w kształcie piramidy? Cemu tak?

Jak to w teatrze, sobą – gestem, mową, ciszą – studenci ucieleśniali opowieść o starej, gordyjsko zapętlonej miłości, i o miłości nowej, równie fatalnie pomieszanej. Jak chce Stoppard – odgrywali przenikanie się czasów. Na scenie wciąż ten sam wiekowy salon, z omszałym lustrem w tylnej ścianie i kolosalnym, na cztery metry długim, iście babilońskim stołem dębowym o nogach jak kolumny Akropolu. Niewiele więcej jest na scenie w sali 210.

Miejsce wciąż to samo, lecz raz jest tu zmierzek bądź poranek sprzed z grubszą dwustu lat, innym razem zmierzek bądź poranek dzisiejszy. Raz po dookólnych lasach kuśtyka lord Byron, a raz w cieniu lustra słychać szmer laptopa. I tak do końca, który niczego nie wyjaśni. W dwóch, trzech finalnych scenach światy będą się o siebie ocierać. Nasz dzins o tamten białą jedwab sukien. Głos o głos, wrażliwość o wrażliwość, skóra o skórę.

Tak. Jak się okaże, przez dwie godziny z minutami uczucia wzajem będą się nicować – romantyczne i nasze. Albo lepiej – uczucia będą się przeglądać w sobie, niczym zwierciadło w zwierciadle. Będą się przeglądać i widzieć, że nic nowego pod słońcem. A w środku każdego z tych czasów, w centrum każdej z tych fabuł – wciąż to samo. W środku babilońskiego

blatu, na dnie małego piramidalnego akwarium, przykryty liściem sałaty – żółw. Niczym wielka pestka. Żółw – sedno. Ale czy fakt, że nieruchawego gada Babicki ustawił w osi opowieści, wystarczy, by wyjaśnić pierwszorzędność gada? Nie.

Od paru lat, na marginesie aktorskich dyplomów, które zwłaszcza reżysersko bywają zachwycająco kuriozalne – dla samego siebie notując szarą, póki co jeszcze małańką prawdę. Oby nie urosła. Rzecz w tym, że młodzi generalnie, w całej studenckiej masie swojej, jakoś wewnątrz „małej”. Co dyplom – to coraz „piskliwsza” gromadka na scenę wyskakuje. Mówiąc o „piskliwości”, nie mówię o głosach. Mówiąc o „piskliwości”, mówię, niestety, o wszystkich skalach, które młodzi mają w sobie. O skali lęku, o skali radości, o skali pojmowania delikatności literatury, o skali niezgody na własny fałsz, wreszcie o skali łatwości, z jaką godzą się na sceniczną papierowość. We wszystkich tych i kilkunastu innych pasmach są coraz intensywniej – wąscy. Dlatego na scenie brzmią jak dzwonki z tektury.

Kontemplując żółwia w „Arkadii”, badając regularność płyt jego skorupy, dumalem trochę o tych studenckich, a raczej zwyczajnie ludzkich jazdach w dół. Ludzie gadają, że szusy te denne biorą się z natury naszych czasów narastającej banalności... Cóż, większość, jak to większość, odwieczne pierdoły klepie niczym pociorek starego wuja Toma. Z drugiej strony – niby jak mam sobie dowieść, że to tylko pierdoły, a nie istota rzeczy? He? A może rzeczywiście czas najwyższy, by w PWST uczono nie tylko dykcji, głośniego mówienia i troski o równe chodzenie, ale też dbano o to, co kto czyta, czego słucha, w jakim rytmie wódkę pije i ludziom się przygląda?

Z grubszą tak studentów na kanwie skorupy żółwia myślą macałem, bo w końcu skądś się od lat paru brać musi ta niezręczność, że na dyplomach coraz częściej – miast młodym aktorstwem się zachwycać (drzewiej tak bywało) – jak rzep lepię się do detali

czwartorzędnych, lepię się, by dokumentnie nie odlecieć w sen bądź rojeńnia na jawie. Takie sam z sobą kolokwium gadzie prowadziłem, bo przecież nie bez powodu na „Arkadii” złapałem się na adoracji problemu, czy zwierzę w piramidalnym akwarium jest żywy, a jeśli, to czy błotny on, czy z Galapagos, wreszcie – jeśli z Galapagos, to co taki mikry? Chory? A może żółw bon-sai z niego jest?

Nic nie poradzę – młodzi grali tak, jak dzwonią tekturowe dzwoneczki. Stoppard napisał kawałek niezłej, niegłupiej zabawy scenicznej, skonstruował romans, rzekłbym, międzyepokowy, a raczej dwa romanse w licznej obsadzie i z mocną domieszką kryminalno-literackiej intrygi. Ulepił psychologiczny smakołyk, iście szachowy rebus – a młodzi w PWST chwytają się gierki formalnej, sięgają po aktorskie sztance. Tu mentalność dzinsowa, tu mentalność sukni jedwabnej, tu mentalność romantycznego markiza, tu mentalność współczesnego wirtuoza laptopa... itp., itd.

Słowem, jeszcze zbyt młodzi, by z samej techniki stworzyć życie ludzkie na scenie, i już za starzy, by pamiętać, że można szeptać: *kocham cię...* bez żadnej wiedzy o skokach przepony. Z drugiej strony – lekko bym skłamał, rzecz całą zostawiając na tym poziomie uogólnienia. Prawda, cała prawda „Arkadii” Babickiego w PWST taka, że owszem, od tekturowych dzwoneczków uciekałem do żółwia. Ale też, gdy do aktorskiej akcji wkraczały studentki – zmysły moje na chwilę opuszczały gada. Nie na długo i niezbyt rześko, ale jednak.

Katarzyna Maciąg, Honorata Witańska, Karolina Stefańska, Magdalena Turczewicz i Magdalena Kajrowicz. Nieważne, co która grała. Ważne, iż inaczej niż koledzy, czasem budziły tę radość bycia blisko prawdy, radość, którą odkryłem, gdy żółw ruszył łapą. Ulga. Moja ulga. Po czym arystokratycznie dzióbnał listek sałaty.

**PWST w Krakowie. Tom Stoppard „Arkadia”. Reżyseria Krzysztof Babicki. Scenografia Marek Braun. Muzyka Marek Kuczyński.**